– Przejdę się z tobą – zakomunikowała Kate i oboje poszli niespiesznie za wózkiem.

Kobieta wsunęła rękę pod ramię Toma i w jakimś nagłym impulsie nostalgii zaczęła mówić:

– Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? Żeby tak po prostu iść, jak my teraz, ale żeby nad nami było niebo – takie zwyczajne, błękitne. I najlepiej góry… tak, góry. Wyobraź sobie – idziemy doliną, z obydwu stron piętrzą się skały, wyrastają na nich drzewa i krzewy, a tu po prawej stronie płynie strumień.

Przesunęła ręką, jakby zagarniała wodę i mówiła dalej:

– Czy pamiętasz szum wody płynącej po kamieniach? W górach woda zawsze jest zimna. Zanurzyć w niej dłonie… obmyć twarz rozgrzaną słońcem… napić się…

Stanęła i zamknęła oczy.

– Nie mogę, Tom, nie mogę. Nie potrafię przywołać tych obrazów. Wciąż nasłuchuję, czy nie pęka gdzieś konstrukcja albo nie syczy ulatujące w próżnię powietrze. A kiedy panuje całkowita cisza, natężam wszystkie zmysły, by upewnić się, że nie odbieram tych niemal niewyczuwalnych wibracji napędu relatywistycznego. To jest chyba najgorsze. To jest ponad moje siły, podświadome, to jakiś imperatyw. Nie umiem usnąć w normalny sposób, zawsze tylko elektrostymulacja. Śnię koszmary. Nie, to nie są sceny ze Zdradzieckiej. Tamto było zwyczajne, jak każde niebezpieczeństwo. Z tym się liczyłam przed wyprawą. Wiedziałam, że mogę zginąć na wiele sposobów, i godziłam się na to, bo to jest ryzyko zawodowe. Mnie zabija czekanie i bezradność, że nie mogę nic zrobić, by stąd wyjść na zewnątrz, ale wyjść bez skafandra, móc oddychać pełną piersią, a nie powietrzem z butli. Te senne koszmary mają zawsze postać tego statku. Najczęściej śni mi się ciemność i cisza. Wszystkie urządzenia są bezczynne, nie pracują, żadne światła nie świecą, a ja czuję wszechogarniające zimno, wciskający się do środka mróz i powoli duszę się z braku tlenu. Charles dał mi jakieś prochy, po których sen jest jak kamień, ale po nich mam ciężką głowę, z trudem się budzę i boję się, że kiedy coś się stanie, to nie będę w pełni sprawna. Nie biorę ich więcej. Nie, już lepiej tak, jak jest…

Tom objął kobietę ramieniem. Przylgnęła do niego. Nie umiał znaleźć właściwych słów na pocieszenie. Wszystkie wydały mu się banalne – tym bardziej, że oboje byli

całkowicie świadomi tego, co ona czuje i co jest codziennością ich wszystkich. Bezradność była obezwładniająca, zwłaszcza że zrozumienie czy nawet naukowa interpretacja stanu psychologicznego nie zastąpi lekarstwa, a na tę dolegliwość jeszcze go nie wynaleziono. Tom zrobił więc najprostszą rzecz z możliwych. Przygarnął głowę kobiety i pocałował ją we włosy.

– Jak dobrze, że jesteś, Tom – powiedziała – tylko przy tobie czuję się bezpieczna. Obiecaj mi, że jeśli wrócimy, to pójdziesz ze mną w góry, nie na jakąś wspinaczkę, ale tak zwyczajnie na spacer, jakimś łatwym szlakiem – takim dla emerytów.

– Pójdziemy – zapewnił ją szczerze – a później pojedziemy nad morze – prawdziwe, żywe morze, w którym pływają ryby, a po dnie chodzą kraby. Pójdziemy boso po plaży, fale będą zalewać nam stopy i owijać wodorosty wokół nóg.

– Będziemy brodzić w wodzie i zbierać muszelki – powiedziała to z nutą rozmarzenia w głosie, chociaż jej twarz wyrażała głębokie zwątpienie.

– To już wkrótce – stwierdził – wytrzymaliśmy tyle lat, wytrzymamy jeszcze trochę. No, ale wracajmy do roboty, trzeba wysłać ten złom na miejsce.

Doszli do sektora magazynowego. Jedynie drobna część zapasów znajdowała się w bezpośrednim dostępie, w tej części kosmolotu, która była przeznaczona na stały pobyt ludzi. Tworzył ją wielki pierścień, którego obrót wytwarzał sztuczną grawitację, niezbędną do życia w warunkach lotu bezwładnego. Większość urządzeń technicznych, napęd i zapasy paliwa były zamontowane w szeregowo połączonych blokach znajdujących się w osi statku, który łączył

się z pierścieniem sześcioma masywnymi łącznikami spełniającymi zarazem funkcję komunikacyjną. Jeden z nich dochodził do sektora magazynowego i posiadał zamontowany mechanizm automatycznego poboru i podawania kontenerów, które system automatycznie rozmieszczał w centralnym magazynie.

Transporter stał bezczynnie przy podajniku. Tom przełożył kontener na podstawę podajnika i zarządził:

– Komputer!

– Gotowy – odezwał się znajomy głos.

– Załaduj kontener do magazynu.

Rozległ się cichy pisk, gdy maszyna zidentyfikowała zawartość, a potem potwierdziła:

– Pompa PT-180, typ WX-31B, status – uszkodzona.

Po trwającej ułamek sekundy przerwie komputer odezwał się ponownie:

– Podaj szczegóły awarii.

– Zniszczone łożysko – krótko skwitował Tom

– Przyjąłem – potwierdził komputer i kontener, chwycony przez podajnik powędrował kanałem wewnątrz łącznika w stronę osi kosmolotu.

– Dziękuję ci, Kate, ale zostaw mnie tu teraz. Mam z nim trochę do pogadania – wyjaśnił Tom, wskazując palcem panel komputera.

Kobieta stała jeszcze przez chwilę w nadziei, że zaproponuje jej jakieś zajęcie albo chociaż zaoferuje swoje towarzystwo na jakiś czas, ale widząc, że jednak ma swoją pracę do wykonania, stwierdziła zrezygnowana:

– No cóż, pójdę spać.

Pogładziła go po policzku i powtórzyła:

– Jak dobrze, że jesteś.

Z cichym „dobranoc" na ustach odwróciła się i poszła w stronę sektora mieszkalnego. Odprowadzał kobietę wzrokiem do chwili, gdy jej zgrabna sylwetka znikła za krzywizną korytarza. Po raz nie wiadomo który stwierdził, że była bez wątpienia najładniejsza z całej żeńskiej ekipy. Należała do tych kobiet, których uroda nigdy nie przemija, a kolejne lata zamiast ujmować, jedynie dodają jej nowych atrakcyjnych cech. Patrząc na nią od tyłu, podziwiał piękne, gęste, jasne włosy, które równą linią schodziły do wysokości jej szyi. Wciąż pamiętał, że przed wyprawą nosiła włosy długie, które często zaplatała w jeden gruby warkocz, ale na pokładzie kosmolotu, podobnie jak pozostałe kobiety, ścinała je, by nie utrudniały zakładania hełmu skafandra.

– Komputer – odezwał się, ściszając mimowolnie głos.

– Gotowy – odpowiedź była jak zawsze tak samo beznamiętna.

– Podaj listę pozycji magazynowych ze stanem zerowym – zażądał i niemal natychmiast, widząc na ekranie szybko przesuwające się wiersze, krótko polecił:

– Stop, za dużo tego. Wybierz tylko te, które są oznaczone atrybutem: „krytyczny dla bezpieczeństwa".

Tym razem pozycji było tylko kilka, ale nie poczuł się uspokojony.

– Muszę to przemyśleć – mruknął do siebie, a komputerowi polecił – wyślij mi to na terminal w mojej kabinie i… wyczyść ten monitor – zarządził jeszcze, po czym poczekał, aż treść ekranu zamieni się w jednolitą czerń. Dopiero wtedy odszedł.

Skręcił w prawo i poszedł do pierwszego sektora mieszkalnego oznaczonego dużą literą B. Za grodziami znajdowały się kolejne, jednakowe kabiny zajmowane przez

poszczególnych uczestników wyprawy. Na panelu zamontowanym na drzwiach każdego pomieszczenia wyświetlany był znak informujący o miejscu pobytu i statusie jego mieszkańca. Prawie wszystkie pokazywały, że w kabinie jest obecny astronauta i właśnie śpi.

Wieloletnia podróż kosmiczna okazała się wyzwaniem nie tylko technicznym, ale może nawet przede wszystkim psychologicznym. Umieszczenie niewielkiej grupy osób w ograniczonej i zamkniętej przestrzeni, a przez to zmuszenie ich do przebywania w tych warunkach przez wiele lat, stwarzało łatwe do przewidzenia, a trudne do rozwiązania, problemy. Dochodziła do tego nuda i monotonia codziennego życia, w którym każdy dzień był niemal dokładnie identyczny z poprzednim. Niezbędna automatyzacja pozbawiła załogę większości zajęć, które w jakimś stopniu wypełniały czas dawnym żeglarzom. Nawet dyżury, jakie astronauci pełnili cyklicznie, sprowadzały się do bezczynnego przebywania w Centrali i oczekiwania na ewentualne wystąpienie sytuacji nadzwyczajnej. Pozostały czas mieli do własnej dyspozycji, ale oferta jego spędzenia była z konieczności mocno ograniczona.

Nadzieja na wprowadzenie ludzi w stan hibernacji, który pozwoliłby na spędzenie podróży w letargu, nie została nigdy spełniona. Organizm ludzki okazał się na tyle różny od tych ssaków, które były wyposażone w ten mechanizm, że badania nad hibernacją zostały ostatecznie zarzucone. Alternatywnym rozwiązaniem okazał się klasyczny sen. Zamiast spać bez przerwy kilka czy nawet kilkadziesiąt lat, każdy dostał możliwość przespania całego wolnego czasu w ratach. Tym samym, zamiast naśladować zachowanie przesypiającego zimę niedźwiedzia brunatnego, posłużono

się przykładem przesypiającego większość dnia kota domowego. Skonstruowano elektrostymulator, którego działanie skutkowało natychmiastowym zaśnięciem, zaś po jego wyłączeniu śpiący budził się w naturalny sposób. Sen nie był różny od naturalnego – dawał odpoczynek i relaks.

Każdy uczestnik wyprawy sam decydował o sposobie spędzania wolnego czasu; indywidualnym wyborem była aktywność lub sen. Im dłużej trwała wyprawa, tym większa była skłonność podróżników do przesypiania większości czasu, szczególnie wobec braku alternatywnych zajęć. Był to również sposób na łagodzenie bądź zapobieganie konfliktom, które były nieuniknione w zamkniętej, niewielkiej grupie osób, zmuszonej do przebywania w swoim towarzystwie przez okrągłą dobę. Alternatywna samotność i spędzanie wlokących się niemiłosiernie godzin w pustce czterech ścian jednoosobowej kabiny i towarzystwie jedynie własnych myśli okazywała się jeszcze gorszym wyjściem. Przedłużony sen i ograniczenie liczby godzin dziennej aktywności stały się w praktyce najlepszym i najskuteczniejszym sposobem na przetrwanie tej niewielkiej grupy osób wysłanej w głęboki Kosmos.

Było ich z początku trzydzieścioro czworo. Tyle osób liczyła łącznie ekspedycja naukowa, w której naukowcy stanowili zdecydowaną mniejszość – było ich tylko sześcioro, zaś pozostali tworzyli załogę kosmolotu i zarazem zespół mający u celu wyprawy wspomagać prace badawcze. Nie było wcześniejszych doświadczeń w organizacji takiej ekspedycji – była prawdziwie pionierska. Nie sposób było nawet ułożyć precyzyjnego planu, gdyż o układzie planetarnym w systemie Sol II, do którego dążyli, wiadomo było niewiele poza tym, że dwie z jego planet krążą

po orbitach usytuowanych w strefie życia wokół gwiazdy podobnej do naszego Słońca. To dawało nadzieję na znalezienie planety nadającej się do zamieszkania przez ludzi, a może nawet odkrycia życia pozaziemskiego. Ze względu na odległość od Ziemi, ekspedycja była zdana wyłącznie na siebie, dlatego też pozostawiono jej pełną swobodę decyzji odnośnie działań, jakie miała podejmować.

Kosmolot miał rozpędzić się do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent prędkości światła i z taką szybkością lecieć przez trzy lata czasu pokładowego. Kolejne dwa były poświęcone na rozpędzanie go po starcie, a następnie hamowanie przed celem. W ten sposób kosmolot miał pokonać odległość dwudziestu lat świetlnych. Ze względu na efekty relatywistyczne w ciągu pięciu lat, które astronauci spędzili w drodze do celu, na Ziemi minąć miało nieco ponad dwadzieścia pięć lat. Badania na miejscu zaplanowano na lat kilka, nie stawiając żadnych warunków, a uzależniając je jedynie od okoliczności zastanych na miejscu. Na roboczo przyjęto, że czas spędzony na miejscu zamknie się w około pięciu latach, zatem licząc czas podróży powrotnej, cała wyprawa powinna trwać dla jej uczestników około piętnastu lat, podczas gdy na Ziemi upłynęłoby wtedy lat pięćdziesiąt pięć. Kosmolot był wyposażony w zapasy i źródło energii pozwalające na dłuższy pobyt na miejscu, jednak założono, że nieprzekraczalną granicę stanowi lat dziesięć.

Przy tak długotrwałej ekspedycji wiek załogi stawał się zagadnieniem kluczowym. O ile sama podróż w kosmolocie nie stanowiła szczególnego wyzwania dla sprawności fizycznej, o tyle pobyt i badanie nieznanych światów stawiały już takie wymagania. Z drugiej strony załoga statku kosmicznego musiała składać się z wysokiej klasy

doświadczonych profesjonalistów, a przecież doświadczenie zdobywa się tylko wraz z wiekiem.

Sprawę rozwiązano kompromisowo. Trzon załogi statku stanowiło dwudziestu jeden doświadczonych astronautów. Oprócz dowódcy i jego zastępcy byli to piloci-nawigatorzy i inżynierowie – specjaliści z tych wszystkich dziedzin, których znajomość była wymagana do obsługi kosmolotu i urządzeń, w które był wyposażony. Nie mogło też zabraknąć dwóch lekarzy, a finalnie do zespołu dołączono jeszcze jednego psychologa. W chwili startu wiek większości z nich przekraczał nieco czterdzieści lat; najmłodszym był trzydziestoośmioletni pilot-nawigator Denis Burwell, a najstarszym – czterdziestoczteroletni dowódca Michael McCormic. Dla zespołu badawczego nie postawiono ostrego kryterium wiekowego, dzięki czemu na jego czele stanął znany naukowiec, pięćdziesięciodwuletni profesor Edgar Thompson.

Tak skompletowaną załogę uzupełniono trzynastoma młodymi ludźmi obojga płci – wybranymi spośród zgłaszających się ochotniczo studentów uczelni technicznych, z których żaden nie przekroczył dwudziestu trzech lat. Przez cały czas podróży, od samego startu, kontynuowali intensywnie naukę, korzystając zarówno z informatycznych systemów edukacyjnych, trenażerów i symulatorów, jak i z pomocy starszych, doświadczonych kolegów, którzy przyjęli tym samym rolę nauczycieli.

Pomysł się sprawdził już podczas eksploracji celu wyprawy, zaś w końcowej fazie lotu to właśnie „młodzi" – jak ich wciąż nazywano – przyjęli na siebie główny ciężar utrzymania kosmolotu w sprawności i w równym stopniu, co „starzy" uczestniczyli w wysiłku doprowadzenia go z powrotem na Ziemię.

W pierwszym etapie wyprawy, kiedy kosmolot z prędkością podświetlną mknął do wyznaczonego celu, załoga nie miała zbyt wiele czasu na sen. Po kilku tygodniach nuda dopadła natomiast zespół naukowy oraz tych wszystkich astronautów, dla których nie było konkretnej pracy. Stopniowo wszyscy oni przekonywali się do elektrostymulacji snu i na ogół reszta załogi widywała ich już tylko w porach posiłków. Końcówka podróży powrotnej z większości astronautów uczyniła bezrobotnych i poza wyznaczonymi dyżurnymi jedynie nieliczni znajdowali dla siebie zajęcie – nie dziwił więc Toma widok symboli snu wyświetlanych na panelach kolejno mijanych drzwi do kabin.

Przeszedł obok pomieszczenia zajmowanego przez profesora, który jak zwykle pracował. Na sen poświęcał nie więcej niż sześć godzin dziennie, kierując się dewizą, że sen kradnie życie. Jak twierdził, człowiek nie ma prawa się nudzić i z pewną dozą ukrywanej wszak pogardliwości odnosił się do tych wszystkich, którzy w łóżkach spędzali większość wolnego czasu.

Nie zwalniając kroku, Tom przeszedł obok kabiny profesora i zatrzymał się dopiero przy drzwiach Marty. Zobaczył, że czuwa, więc uniósł rękę, by przyłożyć palec do płytki sygnalizacyjnej. Chciał pierwszy przynieść jej wiadomość o sygnale, który już wkrótce podąży na Ziemię, dając znak o ich powrocie. W ostatniej chwili, gdy palec już niemal dotykał czujnika, zawahał się. Na myśl o czekającej go rozmowie, która stawała się już nieunikniona, poczuł opanowującą go panikę, odwrócił się i szybkim krokiem poszedł dalej.

Kolejne grodzie oddzielały pierwszy sektor mieszkalny od sektora dowodzenia. Oznaczony był literą *C*.

Tu znajdowała się Centrala sterownicza kosmolotu oraz pomieszczenia przeznaczone do użytku zbiorowego. Obojętnie przeszedł obok Centrali, w której spędził ostatni ośmiogodzinny dyżur i zajrzał do messy. Świeciła pustkami, jak zwykle poza porą posiłków, jedynie automat żywnościowy na jego widok włączył się i zamigotał światełkiem gotowości. Zignorował tę usłużną aktywność i poszedł dalej.

W pomieszczeniach medycznych zastał lekarkę Lisę Snyder. Nim zdołał się w porę wycofać, został zauważony i pomimo protestów doprowadzony do ambulatorium. Usłyszał, że jej unika, że termin jego badań minął już trzy dni temu i że powinien dbać o zdrowie szczególnie teraz, gdy już za chwilę będą w domu. Zrezygnowany obnażył lewą rękę i przyglądał się, jak sprawnie pobiera próbkę krwi, którą natychmiast umieściła w analizatorze.

– I po kłopocie – stwierdziła z uśmiechem, spoglądając przy tym na jego kartę, którą w międzyczasie komputer wyświetlił na ekranie. Zaznaczyła fakt pobrania krwi i dodała:

– Za dziesięć dni poproszę cię na pełną diagnostykę – a widząc niemy protest w jego oczach, zapewniła – to już ostatni raz na tym statku.

– Czy na pewno warto? – próbował jeszcze raz wykręcić się od badań.

– Warto, warto – zapewniła – muszę was wszystkich dowieźć zdrowo do domu i do tego w znakomitej kondycji. Przynajmniej fizycznej – dodała po krótkiej refleksji – jestem zresztą pewna, że im bliżej Ziemi, tym i humory wszystkim się poprawią.

– Tak sądzisz… – mruknął powątpiewająco.

– Co do tego jestem pewna. Pomyśl jeszcze o jednym – co wolałbyś robić po powrocie? Trafić nie wiadomo na jak

długo do sanatorium na leczenie czy też korzystać z życia, wreszcie poza statkiem?

– Odpowiedź jest raczej oczywista.

– No właśnie. Więc nie ociągaj się, tylko przyjdź do mnie na badania. Kto wie, może to już moje ostatnie zajęcie?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wyobrażasz sobie, jaki postęp dokonał się przez ten czas w medycynie? Tyle lat… Moja wiedza przyda się już chyba tylko historykom medycyny.

– Może nie będzie tak źle – stwierdził, ale nie chcąc robić przykrości sympatycznej kobiecie, zapewnił ją, że obowiązkowo stawi się na badania. Podziękował i wyszedł na korytarz.

W pozostałych pomieszczeniach nikogo nie było i niezatrzymywany doszedł do kolejnych grodzi prowadzących do drugiego sektora mieszkalnego. Sektor *D* był identyczny jak *B*, ale utworzono go jako osobny, aby powielić lokalizacje przeznaczone do długoczasowego przebywania ludzi. To rozwiązanie było uzasadnione ze względów bezpieczeństwa, które zakładały, że w razie zaistnienia jakiejś dużej katastrofy przynajmniej jeden z sektorów mieszkalnych przetrwa. Biorąc to pod uwagę i uznając za ważny czynnik zwiększający szanse wyprawy, odpowiednio rozdzielono członków załogi, dyslokując w różnych sektorach osoby o identycznych specjalnościach.

Mijał kolejne drzwi, których panele sygnalizowały status przebywających wewnątrz osób. Podobnie jak w pierwszym sektorze, prawie wszystkie pokazywały, że znajdujący się wewnątrz mieszkaniec śpi. Minął drzwi Kate, konstatując, że z pewnością nie miałaby nic przeciwko temu, by ją teraz obudził i spędził z nią choć trochę czasu. Westchnął

tylko i poszedł dalej. Następne, następne i kolejne… Jednakowy rząd drzwi, za którymi znajdowały się identyczne kabiny, które każdemu z nich musiały wystarczyć za całe mieszkanie na czas wieloletniej, wlokącej się niemiłosiernie podróży. Minął jeszcze jedne drzwi, pozornie takie same, ale jednak inne. Zamontowany w nich panel był czarny – wygaszony. Tylko ten jeden był taki i oznaczał jedno – jego mieszkańca nie tylko nie było w kabinie, nie było go w żadnym pomieszczeniu na statku, gdyż nie było sensu podawać, że martwe ciało Krisa spoczywa zamrożone gdzieś w przepastnych pokładach magazynowych, z dala od zamieszkałego przez astronautów torusa kosmolotu.

Wiedziony jakimś niewytłumaczalnym odruchem Tom otworzył drzwi i nie wchodząc do środka, zajrzał do wnętrza. Wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętał je niemal dziesięć lat temu. Gdyby nie okoliczności, z pewnością byłyby zamknięte i opatrzone przez dowódcę w elektroniczną plombę – albo wręcz przeciwnie – opróżnione i udostępnione do użytku. Nikt nie podjął się uporządkowania kabiny Krisa i zebrania jego rzeczy osobistych. Gdyby lot przebiegał planowo, byłyby one z pewnością cenną pamiątką dla pozostałych na Ziemi krewnych, ale po siedmiuset latach szansa na ich odnalezienie była praktycznie zerowa. Tak więc kabina stała pusta i nieużywana – w stanie, w jakim zostawił ją jej mieszkaniec.

Cofnął się na korytarz, a bezmyślny automat z cichym szmerem zasunął drzwi, które wciąż odgradzały prywatną strefę nieżyjącego już człowieka od przestrzeni publicznej. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i Tom stanął przed kolejnymi grodziami oddzielającymi drugi sektor mieszkalny od sektora *E* – naukowo-badawczego. Wszedł do niego

tylko po to, by nie spotkawszy nikogo przemaszerować do kolejnej przegrody. Wspomniał jak ten sektor – królestwo naukowców – tętnił życiem, gdy badali nowo odkryte planety i jak szybko całkiem opustoszał, gdy okazało się, że ich powrót na Ziemię stoi pod wielkim znakiem zapytania, a jeśli nawet dojdzie do skutku, to przybędą do świata starszego nie o kilkadziesiąt, ale co najmniej o kilkaset lat.

Idąc równym, dosyć szybkim krokiem, doszedł do sektora *F* i niespodziewanie oparł się ręką o przegrodę. Przyzwyczajony do tego, że wszystkie grodzie otwierały się automatycznie, gdy tylko się do nich zbliżał, nie zwrócił uwagi, że te, prowadzące do sektora gospodarczego, pozostawały zamknięte zauważalnie dłużej. Zanim wreszcie rozsunęły się, wysuniętą do przodu nogą kopnął w przegrodę, która wydała głuchy odgłos niosący się cichym pogłosem w pustej przestrzeni korytarza.

Ta nieprzewidziana usterka zaniepokoiła go. Przeszedł na drugą stronę i poczekał, aż grodzie zamknęły się, po czym ponownie zbliżył się do nich. Efekt był powtarzalny. Za każdym razem otwarcie następowało z opóźnieniem. Wyjął komunikator, by powiadomić dyżurującego w Centrali astronautę, ale przypomniał sobie, że jest nim Glen, więc skrzywił się tylko i rzucił w przestrzeń magiczne:

– Komputer!

– Gotowy – odpowiedział ten sam głos wszechobecnego strażnika.

– Zgłaszam usterkę grodzi F-E. Opóźnienie otwarcia. Sprawdzić mechanizm ryglowania.

– Przyjąłem – potwierdził głos i Tom, uspokojony, że komunikat zaraz dotrze do dyżurującego w Centrali inżyniera, poszedł dalej.

Sektor *F* pełnił funkcje gospodarcze, z których najważniejszą była produkcja żywności. Tu znajdowały się hydroponiczne uprawy dostarczające podróżnikom świeżych warzyw, owoców i innych produktów roślinnych, które w części zaspokajały potrzeby żywnościowe i uzupełniały zapasy zabrane z Ziemi. Co jednak najważniejsze, oferowały naturalny smak, którego nie sposób było zachować w produktach pochodzących z Ziemi, zarówno tych puszkowanych, jak też liofilizowanych.

W jednym z pomieszczeń znajdowała się też niewielka uprawa storczyków. Chociaż każde miejsce na statku było niezwykle cenne, to zdecydowano się jednak wygospodarować jego fragment na rzecz uprawy kwiatów, którymi później ozdabiano pomieszczenia mieszkalne. Ich widok zdecydowanie poprawiał samopoczucie podróżników, nic więc dziwnego, że niejeden z nich zaglądał tu często w oczekiwaniu na chwilę, gdy kolejna roślina wypuści pęd ozdobiony pąkami, które rozwijały się później w piękne, fantazyjnie ubarwione kwiaty.

Tom zajrzał do tego pomieszczenia i dostrzegł wyrastający z jednej rośliny wysoki pęd z sześcioma dużymi pąkami, które zdążyły już rozwinąć się w białe kwiaty. Odrzucił pokusę, by zerwać go i zanieść Marcie. Takie postępowanie było niedopuszczalne na statku, choć nie regulowało go żadne formalne rozporządzenie. Rozwinięte kwiaty zawsze trafiały najpierw do messy, a jedynie, gdy zdarzało się, że jednocześnie zakwitło ich dostatecznie wiele, nadmiar był sprawiedliwie dzielony pomiędzy załogę, która dopiero wtedy mogła część z nich zabrać do swoich kabin.

Dłuższą chwilę patrzył na kwiaty tak pospolite na Ziemi, a tak cenne na statku. W końcu opuścił pomieszczenie

i poszedł dalej do końca sektora gospodarczego, aż do grodzi oznaczonych wielką literą *A*. Przeszedł przez nie i znalazł się z powrotem w sektorze magazynowym. Zatoczył pełne koło, przemierzając całą przestrzeń dostosowaną do wymogów życia załogi.

Minął miejsce, od którego rozpoczął swój marsz, i po niedługim czasie znów stanął pod drzwiami Marty. Wciąż czuwała, a on uświadomił sobie, że chociaż wcześniej zdecydował się przejść wokół statku z intencją przygotowania się do tej rozmowy, to podświadomie miał jednak nadzieję, że w międzyczasie kobieta pójdzie spać i rozmowa, którą odkładał od dłuższego czasu, nie dojdzie do skutku. Widząc świecący się wciąż symbol czuwania, uznał to ostatecznie za zrządzenie losu i nie namyślając się dłużej, przyłożył palec do płytki sygnalizacyjnej.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Stanął na progu, jakby wciąż niezdecydowany, czy wejść do środka. Marta leżała na łóżku, ale na jego widok uśmiechnęła się i usiadła, robiąc mu miejsce obok siebie. Trochę zdezorientowana jego postawą i milczeniem, fałszywie odczytała intencje Toma, gdyż tonem usprawiedliwienia rzekła:

– Nie miej mi za złe, ale nie mam dziś nastroju na seks. Może obejrzysz ze mną film? Dopiero go włączyłam. Mogę cofnąć do początku.

– Nie po to przyszedłem – odpowiedział z ponurą miną, wszedł do środka i usiadł obok kobiety.

Pozwoliła mu długo milczeć, nie odzywając się słowem. Wreszcie Tom przerwał ciszę, mówiąc:

– Wracamy. Jutro się o nas dowiedzą na Ziemi.

Spojrzał na zegarek i zaczął głośno liczyć:

– Sygnał wyślemy za mniej więcej dwanaście godzin, do Ziemi dotrze po niecałych sześciu. Kolejne sześć poczekamy na odpowiedź, czyli jutro, gdzieś o tej porze dowiemy się, kiedy po nas przylecą.

– Skąd ta pewność, że wyślą komitet powitalny?

– Nie wiem, czy komitet, ale lepiej, gdyby nas czym prędzej stąd zabrali. Po tylu latach powinni mieć jakąś szybką komunikację wewnątrzukładową. Bo jeśli nie, to czeka nas jeszcze kilka miesięcy w tej latającej trumnie.

Znowu zamilkł, ale tym razem na krótko, po czym stwierdził:

– Marto, za parę tygodni możemy być już na Ziemi.

– Dlaczego nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie? – spytała z odczuwalnym zdziwieniem.

– Co z nami będzie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Wrócimy do domu. Tylko tyle i aż tyle. Ja jestem pełna najlepszych przeczuć. Siedemset pięćdziesiąt lat…

Zawiesiła głos, ale już po chwili kontynuowała:

– Ile tam musiało się zmienić… będę poznawała to nowe – zupełnie jak na nieznanej planecie, będę podróżować, spotykać nowych ludzi… rozpocznę od początku życie. To będzie z pewnością fascynujące.

– Marto – głos Toma był pełen obaw – ja boję się tego powrotu. Boję się nawet bardziej niż wtedy, gdy wyruszaliśmy w nieznane. Obawiam się tych ludzi, których możemy nawet nie rozumieć. Czy zdołam się tam zaadaptować?

– I kto to mówi? Bohater ze Zdradzieckiej. Ty, który niczego się nie lękasz – ostatnie zdanie wypowiedziała celowo z wyraźnie zauważalnym patosem i dalej mówiła – Wciąż mam przed oczyma twój obraz, kiedy poszedłeś po Kate,

podczas gdy wszyscy uważali, że ona już nie żyje. Poszedłeś nawet wbrew rozkazowi dowódcy, chociaż groził ci wtedy sądem.

– Michael niewiele różni się od komputera. Dla niego liczy się tylko prawdopodobieństwo zaistnienia określonego zdarzenia, a kieruje się jedynie analizą ryzyka. Uznał wtedy, że mniej opłacalne jest uratowanie jednego człowieka niż ryzykowanie utraty dwojga. Nie daruję mu tego. Nigdy.

– Jest dowódcą i musi podejmować trudne decyzje. A co ty byś zrobił na jego miejscu?

– Na szczęście nie ja tu dowodzę i wcale się do tego nie palę. Ale wiesz… teraz uważam, że to wszystko jest bez sensu. Ryzykować życie w imię sam nie wiem czego.

– Nie udawaj – wiesz dobrze. Po to wyruszyłeś na tę wyprawę. Jak my wszyscy. Odkrywać nieznane. Dokonać postępu dla ludzkości. Rozwijać naukę. Może brzmi to patetycznie, ale jest w tym jednak prawda.

– Nie mów mi o nauce, bo jeśli mają ją reprezentować osoby pokroju profesora, to ja takiej nauki nie akceptuję. To przez niego omal nie zginęła Kate.

– Kate sama tam poszła, nikt jej nie zmuszał.

– Tylko formalnie. Dla profesora, każda ofiara warta jest poniesienia w imię nauki. A Kate wiedziała, jakie znaczenie mają dla niego te próbki. Dlatego tam poszła, pomimo ryzyka.

Milczeli oboje dłuższy czas. Wróciły tragiczne wspomnienia ze Zdradzieckiej, która właśnie po tym wydarzeniu, które omal nie skończyło się śmiercią dwojga z nich, zyskała to miano.

Marta wzięła dłoń Toma pomiędzy swoje i spokojnym głosem stwierdziła:

– Tom, teraz jesteś sfrustrowany, bo powrót nam nie wyszedł, tak jak miał. Gdyby było inaczej, czułbyś się bohaterem, tak jak my wszyscy cię postrzegamy.

– Bohater – zadrwił sam z siebie Tom – ty najlepiej wiesz, jaki jestem naprawdę. Ta kabina była świadkiem mojego upadku.

– Nie mów tak – zaoponowała Marta – to, co się tu wydarzyło, pozostanie już na zawsze wewnątrz tych ścian. O twojej słabości, choć wcale tak bym tego nie określiła, wiemy tylko my oboje. Nikt z załogi niczego nie podejrzewa. Oni brali cię za wzór, to twoja odwaga i… – zaczęła szukać odpowiedniego słowa – hart ducha pomogły im przeżyć tamte najtrudniejsze lata.

– Dobrze się maskowałem. O, tak, to wychodzi mi najlepiej. Ja żyję tylko dzięki tobie – zapewnił mężczyzna – kiedy nie widziałem dla siebie już żadnej przyszłości, tu znalazłem motywację do życia. Ty się nią stałaś.

– Chyba przesadzasz, Tom. Ty jesteś… – chwilę myślała nad znalezieniem odpowiedniego porównania – ty jesteś typem wojownika, a każdy wojownik potrzebuje spokojnej przystani, gdzie może odpocząć po walce i dojść do równowagi. Czasem myślę, że chociaż latamy w Kosmos, to i tak niewiele różnimy się od naszych przodków. Ty, jak starożytny Wiking, potrzebowałeś ukojenia w kobiecych ramionach.

– Upraszczasz, Marto, sprowadzając zagadnienie do seksu. Przez te wszystkie lata na tym statku seks uprawiał już chyba każdy z każdym, w niemal dowolnej konfiguracji. To nie tak…

Znów zapadła ciężka cisza, którą Tom przerwał w końcu, zadając powtórnie pytanie:

– Co z nami będzie?

– Już mówiłam – wrócimy do domu i wszyscy zapomnimy wkrótce o tym koszmarze.

– Nie o nich pytam. Co będzie z nami – z tobą i mną?

– Widzisz tu jakiś problem? – zapytała, ale po chwili stwierdziła nieco filozoficznie – No cóż, czas pokaże…

– Marto, tak jak wszyscy czekałem niecierpliwie na koniec wyprawy, a teraz, kiedy jest on już w zasięgu ręki, boję się go. Boję się, że po powrocie stracę cię, że staniesz na Ziemi i zapomnisz o mnie.

– Ech, Tom. Mówisz jak dziecko. Tam nie będę ci już potrzebna.

– To nie o to chodzi. Miłość nie sprowadza się do handlu wymiennego, gdzie każda ze stron daje coś drugiemu. To przede wszystkim potrzeba bycia razem. Czy ty nie masz takiej potrzeby?

– Jestem pewna, że wyolbrzymiasz problem. Problem, który może w ogóle nie istnieje. Właśnie tak… nie patrz na mnie takim tragicznym wzrokiem. Bardzo wiele nas łączy i to jest fakt. Też jesteś mi bliski, ale ty oczekujesz ode mnie dziś deklaracji, niemal formalnej umowy na przyszłość, której przecież nie znamy. Dolećmy najpierw na Ziemię. Rozejrzyjmy się. Sprawdźmy, jak tam teraz jest. Przekonasz się, że wszystko samo się ułoży, a jak – to ani ja, ani ty nie potrafimy przewidzieć. Ech, niepotrzebnie wszystko komplikujesz. Chyba znów popadasz w ten swój depresyjny nastrój – powiedziała dość ostro, ale widząc stan, w jakim znalazł się Tom, rozłożyła ramiona, mówiąc – no dobrze, chodź, przytul się do mnie, zapomnijmy o tym wszystkim.